



TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

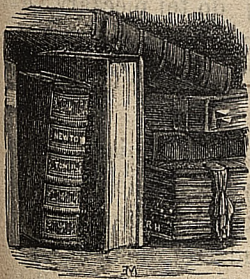
W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i za granicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

Poszukiwania ostnicy pierzastej,

Stipa pennata, w dolinie Ojcowskiej,

opisał STANISŁAW Z WARSZAWY.



Miałem już w swoich zbiorach wilczą jagodę, *atropa belladonna*, najstraszniejszą truciznę, rosnącą na najwyższym szczycie, na północ od Chełmowój; miałem obrazkowiec, *arum maculatum*, chociaż bez ozdóbnej kiści na wierzchu; miałem i *aspidium* i *asplenium* i cały szereg innych ciekawych a rzadkich oka-

zów świata roślinnego, wskazanych w różnych opisach Ojcowa przez Wagę i Berdau'a, brakowało mi tylko do zupełnego szczęścia pewnego gatunku trawy, zwanéj *stipa pennata*, po polsku ostnica pierzasta, z przyczyny, iż ma białą, miękką kiść, podobną całkiem do pióra.

Taki właśnie okaz dostałem w roku zeszłym w Kielcach od pani F. na wyjeździe do Ojcowa, lecz cóż?... umalowana była całkiem na zielono, straciła więc co najmniej połowę wartości. Przy wręczeniu mi kilku tych piórek roślinnych, objaśniła mi pani F., że znaleźć można podobne w Ojcowie, na skałach, przy grocie Ojcowskiej położonych. Po przyjeździe do uroczéj doliny Prądnika, otrzymałem cenny i nader rzadki „Przewodnik” po niéj; w książeczce téj wyczytałem

lakoniczną wzmiankę Ant. Wagi: „Na wyniosłości skał, pod wysoką górą, w której się rozciąga jaskinia Ojcowska, jest jedno miejsce, które polubiła osobliwa trawa, *Stipa pennata*, wielka, znakomita swą pierzastą wiechą, tam tylko rosnąca.”

W ciągu dwóch tygodni, spędzonych w Ojcowie, mało się zajmowałem herboryzowaniem; nie dziwnego! byłem po raz pierwszy w téj „polskiej Szwajcaryi” i jak każdy inny, mający choć trochę poczucia piękna, byłem oczarowany, olśniony cudnymi widokami, coraz to innymi i coraz piękniejszymi. Dziennie robiłem czasami po kilka mil; w ten sposób, pomimo że mieszkałem w Skale, zwiedziłem całą dolinę, wszystkie groty, szczyty, Grodzisko, Pieskową Skałę, Korzkiew, nie więc dziwnego, powtarzam, że na zbieranie rzadkich roślin nie było czasu; zaszuszyłem wprawdzie kilkanaście okazów, które wpadły mi w rękę, lecz tego unikatku ostnicy między niemi nie było!

Inaczej się rzecz miała w roku obecnym; przyjechałem do Ojcowa z rodzeństwem na sześć tygodni, zamieszkałem w samej dolinie, można więc było pomyśleć o systematycznym herboryzowaniu, a więc i o wynalezieniu *stipes pennata*. Na górach, obok mieszkania, które zajęliśmy, rosły prześliczne, wspaniałe, fioletowe, żółte i zielone trawy, z których można było ułożyć modne obecnie a piękne Makartowskie bukiety, lecz głównej ozdoby, któraby stanowiła koronę bukietu, ostnicy, nie było ani jednego kłoseczka!

Wybrałem się do groty Ojcowskiej, szukałem po okolicznych skałach i znalazłem... wiele pięknych i rzadkich roślin, lecz głównego celu wycieczki nie osiągnąłem, bo pierza-

stój trawki, jak tu, tak i wszędzie, gdzie dotychczas szukałem, nie było ani znaku!

Zajrzałem jeszcze do jednego informacyjnego źródła: do Słownika Geograficznego, gdzie przy wymienieniu roślin Ojcowskich jest wzmianka: „na szczególniejszą uwagę zasługuje ostnica piórowa, *Stipa pennata* L., rosnąca koło jaskini Łokietkowej”. Byłem i tam pokilkakroć, lecz zawsze na próżno! Szukałem wreszcie tego rarytasu w Opisie roślin X. Jundziłła, opis ten zgadzał się z tym okazem ostnicy, który widziałem i miałem nawet na własność w roku zeszłym... lecz farbowany na zielono! Nie ufając swojej pamięci i wyczerpawszy na próżno wszelkie dotychczasowe wskazówki, napisałem do Kielc, zapytując pani F., gdzie mianowicie znalazła owe okazy trawy piórowej? Lecz odpowiedź na to absorbujące mnie pytanie nie nadeszła z przyczyny, iż pani F., jak się później dowiedziałem, wyjeżdżała z Kielc na parę miesięcy. Wszystko się snać na mnie spiknęło, żebym nie uczynił zadość swojej woli i swoim pragnieniom!

Lecz nie dawałem za wygraną! Dostałem do rąk ten sam co i w roku zeszłym „Przewodnik”, myślałem z początku, że cokolwiek w nim przybyło dokładniejszych i nowszych informacji, lecz niestety! wydanie było to samo z r. 1860, a więc i ta sama lakoniczna wzmianka, że *Stipa pennata* rośnie tylko na skałach, niżej od wejścia do jaskini Ojcowskiej.

Cóż było robić? pomimo że już dwa razy drapałem się na górę, w której kamiennym łonie znajduje się słynna grotta Ciemna czyli Ojcowska, postanowiłem wybrać się tamże po raz trzeci, lecz już z innej strony, wprost od wejścia do tej groty, ażeby wypełnić dosłownie, jak najściślej, wskazówkę uczonego Wagi, i sądziłem, że nareszcie sprawdzi się przysłowie: „*finis coronat opus*”, że moje wytrwałe i usilne poszukiwania uwiecznione w końcu zostaną pomyślnym rezultatem... lecz nie uprzedzamy wypadków!

Około godziny 11-jej stanąłem u podnóża wspomnianej góry. Promienie słońca spadały prawie pionowo na moją głowę, osłonioną kapeluszem z szerokimi skrzydłami, przytém w rękę miałem prawie trzyłokciowej długości kij, ostro na końcu podkuty. Ruszyłem w górę, nie trzymając się tu i owdzie wijących się ścieżek, lecz idąc wprost przed siebie, a właściwie wprost groty, która mi przy tém wspinaniu się służyła ciągle jako punkt wytyczny, jak latarnia przewodnia. Przy skale trzymało się kilka skorupek ślimaka czarno prążkowanych, po oderwaniu ich od skały, ze zdziwieniem spostrzegłem, że są puste; sama zbroja bez rycerza! a jednak trzymała się przy skale; kto ją tam przytwierdził? na czém się trzymała?

Nie mogąc na razie odpowiedzieć na to pytanie, schowałem kilka skorupek do bocznej kieszeni i idę dalej. Patrzę! kołysze się silniej niż od powiewu wiatru górska roślina, mająca owoce w kształcie strączków, w której wnętrzu, jakem się już przedtém przekonał, znajdowały się małe, białe, połyskliwe pędzelki, jakby w miniaturze *stipa pennata*! Przeglądam się bliżej tym strączkom, przypominającym mi cel wycieczki, a tu na jednym z nich siedzi i porusza się silnie, niby rak czerwony, a takie najeczęściej widuję, umalowany w czarne podłużne pręgi, owad jakiś olbrzymi. Wstrzymałem dech w pierśiach, żeby nie spłoszyć tego osobliwego okazu, wydobywam chustkę od nosa, żeby go tam umieścić, dotykam delikatnie onego strączka... wtém! ów dziwotwór nie owad rozkłada się na setne cząstki, z których każda szybko uchodzi na są-

siednie listki... poznałem złudzenie!... były to małe tak zwane grabarze, zebrane jakby w jedno stadko około strączka i wysysające smaczne snać dla nich soki. Pochwyliłem jednakże jeden okaz i zawiązałem starannie w róg chustki... będzie to dobry prezent, pomyślałem, dla mojej siostry, zapalonej entymologistki.

O kilka kroków dalej, widzę przyczajonego na listku dużego skoczka, znów serce zabiło mi silniej, myślę sobie, może to skoczek uszaty, którego się tak długo naszukał poważny Waga, lecz jego polowanie było przynajmniej uwiecznione, wynagrodzone... a ja, czy znajdę w końcu ostnicę?!... zawsze jednak nie trzeba lekceważyć tego, co samo wchodzi w rękę, co na drodze to nieprzyjaciół, bierzmy w niewolę skoczka! odchylam drugi róg chustki, przyczajam się, łap! już mam! odchylam wolniutko chustkę, przeglądam między garścią wyrwanych liści i ziemi, a tu pusto, niema skoczka, dobry z niego ostrowidz i gimnastyk, kiedy mi się wymknął z pod palców. Patrzę w około, ale on widać w czasie mego przeszukiwania chustki pomknął gdzieś daleko i odpoczywa teraz po doznaniem silnym wrażeniu!

Mniejsza o niego! nie po to tu przyszedłem, żeby szukać owadów, chociaż dotychczas tylko za niemi się uganiałem, lecz po ciebie, trawko pierzasta z długą, połyskliwą brodą, gdzieżeś, ach! gdzieżeś, ostnico?! Rozglądam się na prawo i na lewo, wyteżam słuch, czy nie posłyszę gdzie jedwabistego jęj szmeru... na próżno! tylko czosnaczek skalny wyciąga do mnie główkę z jasno niebieskimi loczkami, za karę więc za doznany zawód, zabieram go ze sobą i stoję przed pionową prawie skałą, w której jednakże są małe, nieregularne, przez naturę urobione schodki, zaczynam też przy pomocy kija piąć się w górę, żeby nie zbaczać z wytkniętej drogi. Chwytam się rosnących tu drzewek, czerpiących soki niewiadomo z kąd, bo rosną prawie na nagiej skale, zdobywam niejako z wielkim trudem i potem każdą piędź ziemi pod górę, wreszcie stoję na jej szczycie. Niespodziewany i jakby zaczarowany widok uderza moje oczy: z jednej strony skała tworzy naturalny tunel kilkunasto-łokciowy, pod którym swobodnie przejść się można; z drugiej lita opoka rozwarła swoją paszczę i zionie strzliwem zimnem; chęć wejść dalej do tej pieczary, lecz brak światła zmusza mnie wkrótce do odwrotu; nie wiem nawet, czy kto zbadał kiedy i zwiedził tę jaskinię, bo nigdy o nią nie słyszałem w Ojcowie.

Z trzeciej strony, od doliny, natura, rzeźbiąc fantastycznie swoje kształty, utworzyła olbrzymią rękę o pięciu palcach, wysokości kilkunasto, a objętości kilku łokciowej: jedne są dłuższe, inne krótsze, jak u ludzkiej dłoni, każdy na swoim miejscu, mały tylko trochę nadto oddalony. Ręka ta, zwrócona ku dolinie, sprawia ogromne wrażenie, szczególnie kiedy się przy niej stoi; zdawało mi się, że się lada chwilę zamknie i zmiążdży kamiennymi palcami śmiałka, co odważył się dotrzeć do niej samój. Lud zwie ją Rękawicą: stoi ona jakby na straży groty Ojcowskiej, leżącej tuż po lewej stronie (idąc od Zamku), a nawprost Krakowskiej bramy.

Z czwartej strony tego zamkniętego w sobie dziedzińca wznosi się olbrzymia, zupełnie pionowa i gładka ściana. Rozejrzawszy się tak na wszystkie strony, rozglądać się zacząłem po ziemi, a właściwie po odłamkach kamieni, leżących w wielkiej ilości na tym szczycie, aby znaleźć wreszcie, ukrywającą się przedemną i zaczynającą mię już gniewać *stipa pennata*: wszystko na próżno! ani śladu! po ziemi piął się

grubolistny bluszcz skalny, osłaniając kamienie i tworząc na nich kłaby w różne kształty i wzory, a pomiędzy nim tu i owdzie wystrzelalo w górę czerwoną strojną główką *arum maculatum*, które że już wczoraj znalazłem gdzieindziej, nie zrobiło mi już tej miłej niespodzianki, jakiej się doznaje na widok czegoś nowego a pożądanego, ot np... ostnicy... Z bluszczu i obrazkowców zrobiłem bukiet i pomyślałem o odwoicie, pragnąc oddalić się jak najprędzej od tej dłoni olbrzyma, która przyciągała mię niejako do siebie, grożąc piorunowładnym palcem.

Miałem do wyboru dwie drogi: jedna, którą przyszedłem, możliwa do wejścia, lecz niemożliwa, jak mi się wydało, do spuszczenia na dół; a druga, nieznaną mi, równie przepaściasta, wązka, lecz zarosła drzewami; wybrałem tę ostatnią. Kapelusz mocno nasadziwszy na głowę i zapuszczając kij przed siebie na zwiady, co znajdę, skałę, czy piasek, czy też puste powietrze?! spuszczałem się, a właściwie zsuwałem ku dołowi; po chwili szczelina rozdzieliła się na dwie strony, spojrzałem na prawo, zimne dreszcze przeszły po mnie! tam przepaść! na lewo rosły drzewa, więc pomiędzy niemi od jednego do drugiego zsuwać się znów zacząłem: pot spływał mi po twarzy kroplisty, ręka gorączkowo ścisnęła kij, próbując drogi, która wydawała się bez końca. Nagle drzewa się skończyły; trzymając się gałęzi ostatniego, miałem jeszcze do przebycia z jakie 20 łokci po pionowej skale; strach mię przejął, myśl o niemożliwości zejścia snuła się po mózgu, wtém! Jezus! Marya! gałąź się urywa, zdawało mi się, że lecę w przepaść! nie! naturalnym instynktem rzuciłem się całą siłą w tył, stoję... cofnąć się niepodobna tą drogą, którą się dopiero co zsunąłem; zeskoczyć z tej wysokości, znaczyło to samo, co narazić się na śmierć lub kalectwo; ludzie daleko, nie usłyszą wołania. Tak więc poleciłem się Bogu, odmówiłem „Pod Twoją obronę” rzuciłem naprzód kij i bukiet, spuściłem nogi na dół i rękami trzymając się wązkiej rozpadliny w gładkiej i pionowej skale, zwolna, przy pomocy jedynie Bożej spuściłem się bez szwanku na ziemię. Natychmiast odmówiłem dziękczynną modlitwę i chwiejąc się, i cały w potach od zmęczenia, powróciłem do domu, lecz... bez ostuicy pierzastój!

ZŁOTE PACHOLE.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

przez M.....a

(Dalszy ciąg).

Mimo wszelkich starań, wyrok ostateczny sądu polubowatego nie podobał się Polsce, gdyż wprost stwierdzał tylko pokój Toruński, nakazując zakonowi wypłacić jedynie 44,000 kóp groszy, jako koszt wojny, zamiast żądanych 100,000. Nie chciano zważać, że było przytém bardzo ważne zastrzeżenie, iż na wypadek, gdyby Zakon nie mógł uiścić się z długu, miał dać Polsce Nową Marchię i Drezdenko w zastaw, a byłoby to odcięciem Zakonu od jego posiadłości w Niemczech...

— Nasi panowie bracia wymagający są i niezadowoleni z tego, co się dla nich wykołatało, ale mądry Zakon lepiej się pozna na tém, i bodaj że nie tak łatwo przyjdzie do wykonania tych jego zobowiązań... — powiedział pan Zawisza, zacierając się w drogę do kraju, aby zdawszy sprawę u króla

Jagielli, zajrzeć pod własną strzechę. Stąpiwszy na krakowską ziemię, rzekł przecież:

— Pacholiku mój Złoty, coraz słabszą mam nadzieję, aby nam dano długo popasać spokojnie; chciałbym pokłonić się rodzicom, a kto wie, czy będzie czas na to, teraz muszę wprzód do Krakowa niż do nich: jedźże choć ty do Garbowa, uciesz się ze swoimi, a potem albo Włodek po ciebie tam wpadnie, albo ja sam.

I podążył pan Zawisza z pocztem swym do stolicy, a młody Jaśko z Dębinki zawrócił konia w stronę Garbowa. Pędził jakiś czas sam jeden co koń podołał, aż około południa, przebywszy lasy, znalazł się niby na dużej polanie, w której końcu z pomiędzy kępy drzew wyglądał, głową je przenosząc wysoko, dąb potężny.

XIV.

Jak rycerski giermek przeląkł się straszdyła.

— To Dębinka!... — wyszeptał sam do siebie młody podróżny, który wyjechałszy ztąd dzieckiem, powracał młodzieńcem dojrzałym, acz nie wiele lat na obczyźnie przeżył. Powstrzymał konia w miejscu, i patrząc na Dębinkę, ocierał rękawem oczy, które mu coś niby rosa zasłaniało, a wtém poczuł coś takiego w piersi dziwnego, że aż musiał drugą ręką ją przycisnąć:

— Tu szczerocść anielska, tu prostota święta mieszka, tu przyjaźń, zacność i mężstwo się rodzą, tu żyć i umierać człowiekowi! O... bodaj każdy w świat ruszał z pod własnej strzechy po to, aby cenić ją się nauczył!...

Tak zawoławszy z głębi drżącego wzruszeniem serca, młody Jaśko obie ręce ku rodzinnej strzesze wyciągnął i pochylając się na wiernym koniku, już puszczał go, aby lotem strzały polecieć przez maleńką odległość w rodzicielskie ramiona, gdy wtém usłyszał dźwięk jakiś i zajądło piskliwe szczekanie i ujrzał nagle tuż przed sobą takie dziwo, że razem z koniem osłupiał i stanął, jakby wrósł w ziemię ze zdumienia. Do drożyny, którą jechał, dochodził sad, a drugi jego odległy kraniec ocieniał dworek państwa Michałów Zborków, i otóż z drzewiczek tego sadu na drożynę przed oczy podróżnego wyszło dziwo owo: była to postać kobieca z twarzą pobieloną i umalowaną, z włosami sztucznie utrefionemi, w sukni niezmiernie szerokiej i wydętej tak, że boki i z trudnością wysuwała się z furtki, w trzewikach na tak niezmiernie wysokich obcasach, że aż się chwiała, stępując, a z nosami tak sztucznie i gwałtownie pozadzieranemi w górę, że aż widocznie własne jej palce w trzewikach zadarte były także i tém bardziej utrudniały chodzenie. W jednej ręce niosła „parasol” od słońca, drugą przyciskała do łona malutkiego pieska, jakiego wówczas każda modna dama musiała posiadać, ręce jej ukryte były w haftowanych rękawiczkach, ale i tak nawet znać było, że niezmiernie długie a cienkie jej palce nie musiały nigdy tknąć żadnej roboty, aby te cechy piękności owocniejszej pielęgnować. Była to więc dama w całem, lecz urągliwym znaczeniu tego wyrazu, bo obok najwyższych stroju pretensyj, widać było grube niedoskonałości jego, a to poczawszy od lic ubarwionych ćwikłowym buraczkciem, zamiast drogich zagranicznych kosmetyków. Że zaś młody Jaśko przez parę lat zagranicznego doświadczenia zdążył się poznać z takimi rzeczami wybornie, tedy nie dziwnego, iż osłupiał, ujrawszy w Garbowie, w pobliżu swojej Dębinki, cudo takie, brzęczące w dodatku na wszystkie strony wiszącymi dzwoneczkami, na co wszystko Jaśko do unudzenia się na królewskim zagranicznym dworze napatrzył i przed czem właśnie uciekał teraz, aby odetchnąć i oczy uweselić widokiem matuchny swojej, ślicznej i także strojnej, ale strojnej rozsądnie, tak że strój pracy nie przeszkadzał i dodawał wdzięku, a nie szpecił przesada.

Wtém nagle pomyślał Jaśko młody, że to nie może być, aby w Garbowie, siedlisku cnót starych i obyczajnej prostoty, miało istotnie znajdować się takie strojne cudactwo, tylko pe-

wno jest to złuda jakaś niedobra, więc na raz machnąwszy biczkiem ku widziadłu:

— Zgiń, przepapnij, siło nieczysta! — wykrzyknął i kopnąwszy się z miejsca gwałtownie, dopadł w chwil parę Dębinki i skoczył w ramiona rodziców, rzuciwszy konia na wolę:

— Pachole Złote moje! synku mój! śliczności moje! jakież z ciebie piękny nad pięknymi wyrósł kawaler!... — wołała pani Beata, pieszcząc syna tak samo prawie, jak przed sześciu laty, gdy malutkiem był chłopięciem. W zapomnieniu nawet go sobie na kolanach już sadzała, aż mąż i dziad śmiać się z niej zaczęli:

— O dla Boga! a i cóż to było? — spytała babka, nie mniej jak wszyscy wówczas przesądna.

— To był taki straszny cudak, niby to modna dama dworska z psiakiem, jak to one, na rękę, ale wyraźnie „udana złuda” tylko, bo aż zgroza brała patrzeć na to... — powiedział młody Jaśko.

— Oj dla Boga, a zkadże się to wzięło? i gdzie się podziało? — spytała matka Beata okrutnie zafrasowana tym zjawiskiem, zachodzącym jej synowi drogę przy powrocie do domu.

— A! — rzecze nagle synek, jakby coś sobie przypo-



Drzewa na nóżkach.

— A toż to pacholątko teraz mogłoby ciebie, pani córko, na rękach piastować!... — ze śmiechem stary dziad Jaśko powiedział. Zarzucono pytaniami upragnionego synka, i o niego, i o pana Zawiszę, i załamano ręce na wiadomość o krótkiej jego prawdopodobnie w Garbowie gościnie, a potem tém żwawiej zajęły się matka i babka sutem ugoszczeniem, aby choć podkarmić troszkę tego biedaczka, zanim znów z domu w świat polecą. A potem wszyscy zauważyli, że należy natychmiast podzielić się radością i nowinami o panu Zawiszy z państwem w Garbowie, i poszli wszyscy razem całą rodziną do pańskiego dworu. Idąc, mówił młody Jaśko:

— No, to i chwalić Pana Boga, kiedy wszyscy i w Dębince i we dworze zdrowi, i wszystko jest jak było, bo mnie okrutny już strach o was zdjął, dojeżdżając, gdyż „coś” mi drogę zastąpiło i myślałem, że to zła wróżba jaka, aż mi włosy powstały ze strachu.

mniał — otóż to, czy tylko niema czego złego u sąsiadów Zborków Michałów? bo owa „nieczysta siła” właśnie z ich sadu wylazła i chciała przejść mi drogę, alem ja chlasnął na nią biczkiem, powiedziałem „zgiń przepadnij” i skoczyłem tu do was szczęśliwie.

Dziady i ojcowie na te słowa synka spojrzeli wzajem na się, dziwne zamieniając spojrzenia, aż nagle ogólnym wybuchnęli śmiechem. Młody Jaśko spoglądał po nich zdumiony, z uśmiechem, bo miłą mu była ich wesołość, acz jęj nie rozumiał, dopóki pani Beata, zanosząc się ze śmiechu, nie rzekła:

— Oj, pacholiku Złoty mój, nie dziwić się tobie, bo słusznie rzeczy uważasz, ale zawsze śmiechu warta twoja pomyłka, boś ty ani chybi tylko Jadwisię Zborkównę za „złudę” wziął, gdyż ona to właśnie takiego przemodnego cudaka z siebie robi, o jakim mówisz i z psiakiem modnym i „z parasulem”, w rękawiczkach, po wsi chodzi, a ręce, palce, i paznokcie

URLOP STRAŻAKA.

KOMEDYJKA ZE ŚPIEWKAMI W DWÓCH AKTACH

przez Zofią Haukową.

(Dalszy ciąg).

SCENA V.

JANOWA, ADAMOWA, STANISŁAW.

(przychodzą z przeciwniej strony).

ADAMOWA.

Dzięki Bogu, mam cię znowu, kochany synu! niemało tęskniłam za tobą... Jakżebym pragnęła, abys jaknajprędzej opuścił służbę, w której życie swoje narazić można.

STANISŁAW (wesolo).

Nie lękaj się o mnie, kochana matko, nic złego mi się nie stanie. Prawda, temu dwa lata spadłem z dachu i złamałem nogę *), ale wyleczono mnie z tego doskonale. O przypadek wszędzie nietrudno, a za to, co za chwała ratować bliźniego w potrzebie, nie tylko z własnej swój woli, ale z powołania.

ŚPIEWKA I.

Piękna to powinność jest słu-
[żyć bliźniemu,
I w niebezpieczeństwie być po-
[mocnym jemu;
Czy pałac bogacza, czy domek
[biednego,
Ratujem od ognia posiadłość
[każdego.
A gdy się nam uda ugasić pło-
[mienię,
Gdy nas nie zawiodą trudy
[i nadzieje,
Gdy spotka nas za to wdzięczne
[dziękczynienie,
Wnet płomień rozkoszy w ser-
[cach naszych tleje.

ADAMOWA.

Niech cię Bóg błogosławi i strzeże w tym zawodzie, mój synu. Ale powiedz mi, zkąd miałeś tyle pieniędzy, aby mi przywieźć z Warszawy tak ładne podarunki? Szkoda, żeś nie widziała, Dorotko, jak oczy wszystkich w kościele były zwrócone na spódnicę, na czepek, na wstążki, com je od Stanisława dostała. W Warszawie za najlepszych czasów nie miałam nigdy tak pięknych strojów.

JANOWA.

A paciorki moje, czy nie prześliznęły? Jan także dostał czapkę z barankiem.

ADAMOWA.

Pocziwy chłopiec, o nikim nie zapomniał... nie rozumiem jednak zkąd...

*) Podobne wypadki często się wydarzają w straży ogniowej.

takie sobie modne uchowała, że żadnej roboty ani tknie i nawet ubierać się sługom każe, bo jej te paznogie przeszkadzają! ha ha ha!...

— Jadwisią Zborkówna!... ta umorusana Jadwiś, prosta do zbytku, niby chłopska dziewczucha? A i cóż to z nią się stało, że się tak odmieniła? Czyby „co przystąpiło”? — pytał młody Jaśko, gdy mógł przemówić ze zdziwienia.

— Kto wie, może i przystąpiło — z westchnieniem odpowie pani Beata — Bywała nazbyt zaniedbana, a teraz zbytecznie jest strojna; tak często na świecie białe z czarnym się styka, i największy rozum w tém, aby w codziennym życiu takich niemiłych ostateczności unikać.

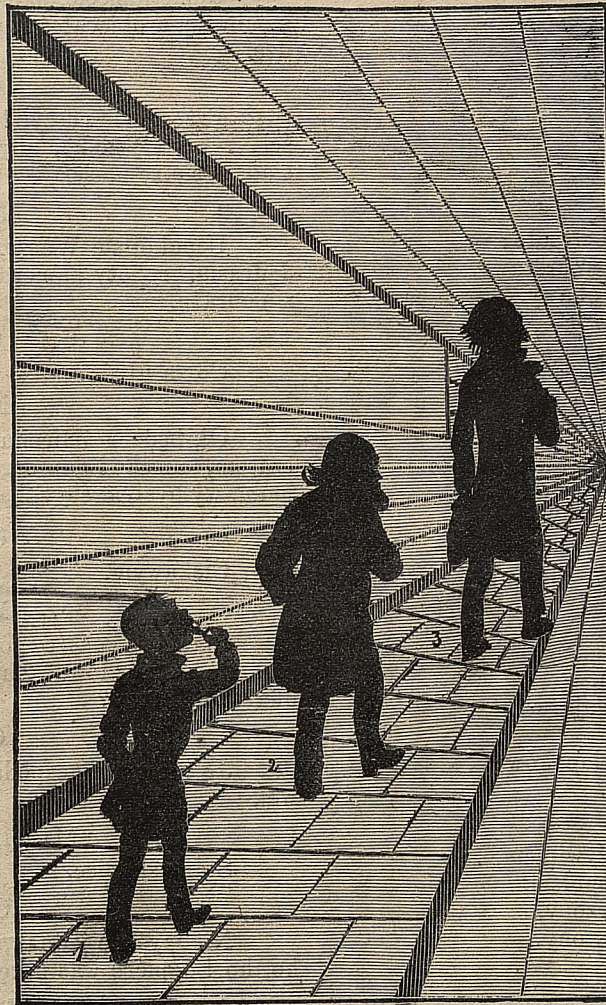
I opowiedziano synkowi kłopoty państwa Michałów z córeczką, która niby przez jakieś czary, odwróciwszy się nagle na nice, była teraz wprost inną, jak dawniej, a zawsze niepożyteczną ojcom w domu, nie mającym z nią żadnego wyręczenia, i nieposłuszną, aż wstyd i zły przykład był z tego dla innych dziewcząt w Garbowie.

DRZEWA NA NÓZKACH.

Rysunek nasz przedstawia jedno z najosobliwszych drzew zwrotnikowych. Jest to palma, zwana *Iriurtea ventricosa*, rosnąca na bagnistych wybrzeżach rzeki Amazonki w Ameryce południowej. Pień, dziwnie wydułty, opiera się zupełnie jakby na nóżkach, na wiązce korzeni, sterzących ponad ziemią, na dwa lub trzy metry wysokości. U góry zwiesza się parasol z liści pierzastych, jak u wszystkich palm. Niepodobna sobie wyobrazić dziwniejszego widoku.

Który największy?

Patrząc na trzech ichmościów, postępujących jeden za drugim na naszym rysunku, każdy powie zapewne, że idący na przedzie, oznaczony Nr. 3m, jest najwyższy. Tymczasem, zmierzwszy dokładnie cyrklem wysokość trzech tych postaci, przekonamy się, że o parę metrów wyższy jest ostatni, Nr. 1-ym oznaczony. Łatwo sobie wytłómaczyć przyczynę takiego złudzenia wzroku. Przywykliśmy już do tego, że przedmioty, które mamy przed oczyma, zmniejszają się w miarę odległości. Wiemy doskonale, że wieża kościelna jest wysoka, chociaż w oddaleniu wygląda mniejsza od pobliskiego drzewa. Trzej ichmoście na rysunku, z powodu owych linii ukośnych, pośród których są narysowani, takie sprawiają wrażenie, jakgdyby oznaczony Nr. 3cm był od widza najbardziej oddalony i odrazu też na pierwszy rzut oka wydaje się największy, drugi nieco mniejszy, ostatni najmniejszy. W rzeczywistości jest jednak odwrotnie, możecie się o tém przekonać, odmierzając wysokość wszystkich trzech.



Który największy?

STANISŁAW.

Oto z ostatniego pożaru: ratowaliśmy dom cały w płomieniach, wydostałem z nich dziecko małe uspięne... żyło zaledwie. Matki nie było w domu... szczęściem niedaleko ujrzałem studnię, zlałem dziecko wodą, zaczęło płakać i na wielkie szczęście i radość moją przyszło zupełnie do siebie. Matka dziecięcia w tej chwili nadbiegła, wzięła je w swoje objęcia, a mnie ofiarowała kilka rubli; w każdym innym razie byłbym odmówił, ale ponieważ wybierałem się do ciebie, matko, przyjąłem je i użyłem na podarki.

ADAMOWA.

Pocziwe chłopczyko!

JANOWA.

Jednak to strasznie być musi, kiedy idziecie do ognia.

STANISŁAW.

O nie, wcale; posłuchajcie tylko.

ŚPIEWKA II.

O każdej dobie, zawsze gotowy,
Żołnierz na czatach w straży ogniwój,
Stoi na wieży, patrzy wokoło
Bacznym swym okiem, śpiewa wesoło:
Chociaż noc ciemna wpośród Warszawy,
Spój, Warszawiaku, bądź bez obawy.

(mówi).

A gdy się gdzie dym ukaże lub iskry rześiste?

ŚPIEWKA III.

Strażak, co czuwa, daje znak z wieży,
A dzwon natychmiast silnie uderzy.

(mówi).

Wtenczasto każdy strażak śpieszy do swego obowiązku i w kilka minut wszyscy gotowi.

(śpiewa dalej).

Jedni z nas sikawki wytaczają,
Drudzy konie do nich zaprzęgają,
Ci do toporów i do bosaków,
Jak przystoi na dziarskich chłopaków;

I lecą w cwał,
Nikt nie zadrżał.

Pracują, walczą z strasznym żywiołem,
Mężnie i zręcznie, wszyscy pospołem.
Strażak do ognia, jakby stworzony,
W ogniu jest zawsze nieustraszony.

(mówi).

Wyznaj, matko, że napracowawszy się czasami kilkanaście godzin bez przestanku, strażak śmiało powiedzieć sobie może.

ŚPIEWKA IV.

Ach, brawo, strażaku, jakżeś szczęśliwy!

Tyś jest prawdziwy
Warszawski chwata!

Takimto w tym mieście zna mnie cały świat.

ADAMOWA.

Z tym wszystkiem, chroń ich i nas, Panie, od pożaru.

JANOWA.

A teraz, pani matko, chodźcie zajrzeć do izby, jakem ją ślicznie przystroїła.

ADAMOWA.

I owszem, moja droga. O jakże dziś jestem szczęśliwa! (odchodzi).

A K T II.

SCENA I.

ORGANISTA, później MARCINOWA.

ORGANISTA.

(wychodzi poważnie oglądając się wokoło).

Jak widzę, najpierwszy tu przychodzę. To źle, tak być nie powinno w moim znaczeniu... Żal się Boże na tym świecie piastować urząd organisty! kto tylko może, mnie ubliża... wróćmy się do domu.

(chce odejść, Marcinowa go zatrzymuje).

MARCINOWA.

Gdzie idziecie, panie organisto? wszyscy ze wsi będą tu za chwilę, a obiecałeś stanąć na ich czele; oni są już w drodze.

ORGANISTA.

Przecie się ruszyli! To chłopstwo ubliża mój godności... czy się godzi, aby organista czekał na nich? Nie posiadam się ze złości.

MARCINOWA.

Uspokój się Wasze, oni byli tu już oddawna, ale ubiór Jędrusia, roboty kamerdynera jasnie pana i mojej, nie udał się odrazu.

ORGANISTA.

Co za ubiór?

MARCINOWA.

Oj, będzie śmiechu wiele... ale nic nie powiem przed czasem, niech i pan organista raz co nowego zobaczy i nad moim wymysłem się zabawi... szczycę się nim.

ORGANISTA.

Ciekawym.

MARCINOWA.

Pocziwe nasze gospodynie niosą Adamowój w darze niemało specyałów. Zapewne i pan organista cośkolwiek ofiarować raczy?

ORGANISTA.

Ja nie mam gospodarstwa, stołuję się u pani ekonomowój.

MARCINOWA (na stronie).

Stary skąpiec.

ORGANISTA.

Nie myście jednak, bym przyszedł z próżnemi rękoma! ho, ho, dopiero was uczęstuje.

MARCINOWA.

Czemże przecie?

ORGANISTA.

Oracyą.

MARCINOWA (śmieje się).

O, tém nikogo nie uruczysz.

ORGANISTA (obrażony).

Śmiech nie na swoim miejscu, mościa Marcinowa... ubliżasz mój godności. No proszę, czy warto było się mozolić, noc bezsenną strawić, by lada kto w żart obracał moją pracę!

MARCINOWA.

Przepraszam, przepraszam, panie organisto; słuchać będę jak trusia, nie ziewnę ani razu, nawet pilnować obiecuje porządku i uważać, by kto nie zasnął i nie przeszkodził pańskiej mowie... Ale otóż i soltys.

(d. n.)

POŚRÓD ŚNIEGÓW I LODÓW.

PAMIĘTNIK SZESNASTOLETNIEGO PODRÓŻNIKA

w krainach północnych.

(Dalszy ciąg).

Tak mi żal było Eddy'ego, że wspólnie z nim płakałem. A tymczasem trzeba było i nam pożegnać Wadso i płynąć dalej z Warenger fiordu, okrążając Norwegię ze wschodu na północ i zachód przez ocean Lodowaty Północny, tak, jak to odrazu było zamierzono. W Wadso, jako w jednej z najważniejszych stacyj rybackich, narobiło się notat sporo, ale inne miejscowości trzeba było obejrzeć wedle programu, choć Eddy utrzymywał, i słusznie, że to w gruncie rzeczy wszystko jest jedno wszędzie na tych wybrzeżach, z różnicą tylko co do jakości rybiego towaru, ale nie co do wyrobu guana. Jeszcze też z nikąd w życiu tak ochoczo nie wyjeżdżałem, bo i Eddy płynął z nami, a raczej to my płynęliśmy na statku, na którym on służbę swoją sprawował. Wypłynęliśmy tedy, i dopiero po dwóch godzinach drogi, wysunąwszy się już z fiordu, ja powiadam:

— Co to tak pachnie w tych okolicach oceanu? ojcze? Eddy?

— Et, co tam pachnie, to tylko cuchnąć przestało i świeżem oddychamy przecież powietrzem, więc tobie zdaje się już, że świat cały pachnie — rzekł Eddy, wzruszając ramionami.

Tak to było w istocie, ale niedługo, bo w kilka godzin znów poprzednia atmosfera się zjawiała i Eddy zapowiedział, że zbliżamy się do Wardo, a to, jak mówił Eddy, jest drugie Wadso z małą różnicą. Płynęliśmy zrazu niedaleko brzegów skalistych, czarnych, smutnych, później na prośby nasze puściliśmy się trochę dalej na ocean, i spotkaliśmy już aż trzy wielorybiska ogromne.

Wtém ukazał się statek wielorybiczny i przecież choć z daleka zdarzyło nam się widzieć połów. Wielorybnik zabił drogę jednemu potworowi w chwili, gdy ten, dawszy nurka, ukazał się znowu z właściwym hukiem i wybuchając wysoko strumieniami wody; usłyszałem wystrzał, a równocześnie nasz kapitan dał jakiś rozkaz i zaczęliśmy uciekać wszystką siłą pary, gdy rybacki statek pędził także, jak strzała prawie, ciągniony wyprężoną liną, której drugi koniec zniknął w morzu, a pędził prosto na nas, chociaż rozpostarte były wielkie hamulce ku opieraniu się pędowi. Ale my nie mieliśmy hamulców i pędziliśmy, jak szaleni... W pierwszej chwili nie zrozumiałem wcale, co się dzieje, i tak mi się myśli pomieszały, że nie byłem pewny, czy to nasz czy tamten drugi statek porwany jest przez wieloryba. Pojąłem dopiero całą rzecz, gdy po chwili gwałtownej gonitwy, zwróciwszy się w bok, nasz statek zwolnił biegu, a Eddy, biorąc się w boki po krótkiej ale żwawej pracy, rzekł:

— A to bestya! a to zatańczył! gdybyśmy nie zemknęli w czasie, byłby nas zatopił jak nie!...

— Nigdy już na żadne prośby pieszczochów nie podpłynę tak blisko do rybaków!... — powiedział kapitan, pociągając go leciutko za ciemną kędzierzawą czuprynę. Pokazało się, że wieloryb, trafiony pociskiem, zwrócił się w miejscu i rzucił właśnie ku nam tak niespodzianie, że na żadnym z dwóch stateków nie obrachowano tego ruchu. Gdyby nie „dobra natura” naszego statku, jak się o nim wyraził Eddy, wieloryb byłby niemylnie wrzucił na nas drugi statek, który ciągnął na linie za sobą i prawdopodobnie oba poszłyby na dno.

W jakiś czas później wielorybnik, zniknąwszy na chwilę, ukazał się znowu, już bez hamulców, szedł wolno, bo holował wieloryba ubitego. Był z Wardo i wracał tam wraz z nami. I w Wardo potem oglądaliśmy te statki parowe, umyślnie urządzone do połowu wielorybów. Wszystko jest tak prawie, jak na zwykłych małych parowcach, i sposób sam połowu jest stary jak świat; tak samo, jak od najdawniejszych cza-

sów, harpun przytwierdzony do liny musi trafić w wieloryba, potem wieloryb rzuca się do ucieczki, jak szalony, a lina odwija się szybko z wielkiego kołowrotu na statku, który wreszcie, ciągniony przez nią, musi pędzić za wielorybem, dopóki ten nie utraci sił i życia. Ale dawniej harpun był ciskany ręką ludzką, a dzisiaj jest poprostu wystrzelonym z pewnego rodzaju działa, i nie jest to prosty harpun, lecz jeszcze zaopatrzony jest w nabój, wybuchający dopiero wtedy, gdy już harpun w wielorybie ugrzęźnie, a przez ten wybuch równocześnie roztwiera się na kilka harpunów, chwytając zwierzę jakby tyłuż pociskami.

Rozumie się zatem, że dzisiaj poławia się wieloryba i pewniej i prędzej niż dawniej, ale i tak nie odbywa się to bez niebezpieczeństwa, a rybak, strzelający doń owym harpunem śmiertelnym, musi być w szczególny sposób odzwojnionym i bystrym, i zręcznym, i żwawym, bo jedna chwila, krótka jak mgnienie oka, stanowi o połowie. Wieloryby są takie, czy spokojne, czy odważne, czy też głupowate nareszcie, bo nie wiem doprawdy, jak to uważać, że wcale nie okazują obawy. Na jednego napłynęliśmy tak blisko, że nie więcej nad trzydzieści łokci dzieliło nas od niego, gdy dopiero znikł nagle, dając nurka, ale też właśnie z takią mniejszą odległości trzeba rzucać ów harpun, a więc rybak, kierujący wystrzałem, ma ledwo jedno mgnienie oka do wycelowania, bo za ledwo dosięga właściwej odległości, gdy zwierzę już znika. Nie zawsze też i zwierzę pozostaje na powierzchni wody, a rybak musi z nadwyzwyczajną zręcznością skorzystać z chwili, gdy ukaze się dla odetchnienia. Rozmawiając z Eddym o tém wszystkim, zbliżyliśmy się napowrót do brzegów skalistych i silna woń ryb zgłuszyła ogarniała nas coraz bardziej.

— Oto masz i Wardo, *wielkie* miasto tutejsze, co znaczy, że jest równie wielkiem jak Wadso — powiedział Eddy, i ujrzałem przed nami skalistą wysepkę w sąsiedztwie lądu, a na tej wyspie w głębi szerokiej zatoki było owo Wardo. Mogłem się tego tylko domyślać, bo zasłaniało go mnóstwo stateków i dużych okrętów, stojących w tym porcie, głównym w tych stronach. Wpłynęliśmy i my pomiędzy dwiema jeszcze mniejszemi wysepkami, które stoją jakby na straży u tej przystani, mnóstwo łódek podpłynęło zaraz, otaczając złowionego wieloryba, który płynął przed nami, ciągniony na linie wielorybiczego stateczku.

Gdyby Eddy nie uprzedził mię, że Wardo ma też około półtora tysiąca mieszkańców, byłbym myślał, że naprawdę wpływamy do wspaniałego portu u stóp wielkiego miasta, tak ludzą oko budowle fabryczne, składy, suszarnie, wszystko ogromne, w wielkiej liczbie, i rozsiadłe szeroko wzdłuż wybrzeża, aby do każdego budynku był dostęp dla towaru prosto z portu. Ale dostęp ten dla ludzi i tutaj jest szkaradny, tém szkaradniejszy a nawet niebezpieczny, że wszystko jest tłuste i ośliżłe do obrzydliwości, więc przylepiasz się nieledwie do łódki tutejszej, szczeble drabiny wymykają się z pod nóg, liny wysuwają z rąk, a jednak trzeba po tém wszystkiem wdrapywać się na ląd. Nikt tu zaś nie pomoże z miejscowych, bo ludzie tu, jak słusznie powiedział Eddy, „żyją rybą i dla ryby tylko”, co nie jest rybą lub wielorybem, nie obchodzi ich wcale. Może i sami stają się rybami pod pewnym względem. Niema też tu wcale Lapończyków, jak Eddy zaręcza, a uczuwamy nieraz brak nieponia, ale troskliwego Hans-Johna, z którym rozstaliśmy się ostatecznie w Wadso.

Wgramoliwszy się przecież na ziemię, a raczej na skałę, znaleźliśmy istotnie toż samo co w Wadso, wieloryby i jeszcze raz wieloryby, no i inne ryby w najrozmaitszych stopniach „rozembrania” czyli „negliżu” jak powiedział ojciec, który jest po swojemu w dobrym humorze, tém bardziej, że podróż służy mu na zdrowie. Dziwne to, że jak Eddy zapewnia, ludzie tu wszyscy są zdrowi, powietrze przejęte cuchnącą zgnilizną rybą nie szkodzi wcale. Rozpoczęło się tedy znowu oglądanie fabryk, suszarni, młynów do mielenia ości i chrząści, stateków rybackich, i notowanie, tém niewygodne, że nie notowaliśmy na miejscu w danej chwili, lecz dopiero wróciwszy do naszego kąta po obejrzeniu czegoś, bo zapewniano nas jeszcze w Pitei, że notowanie natychmiastowe zdradzi nas

jako kandydatów do współzawodnictwa w fabrykacji i przeto utrudni nam oglądanie fabryk.

Byliśmy tedy trochę w nieprzyjemnym położeniu, bo fałszywem, udając tylko turystów ciekawych. Mieszkaliśmy w drogo opłaconej budzie, bo inaczej trudno to nazwać, tuż poza budowlami fabrycznymi. Kilkadziesiąt takich bud, skrytych w tenże sposób, jakby się wstydziły pokazać portowi, stanowią tu całe miasto. A pamiętać trzeba, że i same główne fabryczne budowle, acz imponują rozległością i ilością, przecież są także nie czém inném, tylko ogromnymi budami. O pozór, o estetykę i tym podobne niepopłatne, owszem kosztowne rzeczy, nikt tu nie dba. I trudnoby dbać może wobec tych okropnych gór krwawego tłuszczu i mięsa, cuchnących o milę, a stanowiących podstawę, zasadę, i rację bytu miasta Wardo.

Ta wstrętna gromada bud ogromnych i małych, gór czarńawo krwawych, cuchnąca bardziej, niż wyobrażać sobie można, zbrzydła mi do reszty, gdy przyszło rozstać się z dobrym i grzecznym jak panienska Eddym, którego statek musiał pilnować swoich obowiązków pocztowych na tych wybrzeżach. Oba mieliśmy lzy w oczach przy rozstaniu. On trzymał przytém w palcach gałkę tytoniu, jak prawie zawsze i usiłował włożyć ją do ust i ssać, jak to mają zwyczaj robić wszyscy wilcy morscy, to jest porządni majtkowie. Ale nigdy nie mógł się Eddy na to zdecydować, bo obrzydliwie to smakuje. Dość jedno żdźbło tytoniu rozgryść, aby się o tém przekonać. Ale też, gdy długo się tego używa, to cała twarz wykrzywia się i koszlawi oczywiście, będąc zawsze z jednej strony gałką taką wypchana. Chciał więc Eddy próbować i tego sposobu oszpeccenia swęj twarzy, ale nie mógł znieść tytoniu. Przytém ojciec zwrócił jego uwagę i na to, że ten sposób może skutek osiągnąć dopiero po długim używaniu, więc nie opłaciłoby się mieć ciągle taką obrzydliwość w ustach w nadziei, że kiedyś tam coś z tego będzie, gdy Eddy potrzebował najdalej za niecałe już pół roku iść z cukierkami do narzeczonej, wyglądając już jak przystoi na marynarza. Mój Boże, że też to każdy na tym świecie musi mieć ciężkie jakieś swoje utrapienie!

Przyrzekliśmy sobie z Eddym pisywać do siebie i zobaczyć się, jak tylko powrócimy oba do Szwecji. Radziłem mu, żeby się nie mył długo, to przecież mu twarz zbrzydnie, i Eddy chwycił się tego środka chętnie, ale cóż, kiedy nie wytrzymał do trzech dni i wyszorował się, jak rondel, szorstkim kawałkiem flaneli, bo go matka od dzieciństwa do tego przyzwyczaiła. Tak to bywa z niejedną rzeczą na świecie, matki przyzwyczajają nas tak, że potem rady sobie dać nie można i skorupka trąci na starość, czém z młodu nasiąkła. Kłopot prawdziwy!

Gdy Eddy biedak odpłynął, ja tém gorliwiej pomagałem ojcu, aby copędzjej załatwić się z naszym pachnącym interesem. Wielorybów było tu jeszcze więcej, niż w Wadso, bo też właśnie była to zwykła pora, w której one razem z lodami i z całemi ławicami innych małych ryb przybywają ku brzegom norweskim ze swoich zimowisk, aby po tój przechadzce letniej i po przebyciu pewnego czasu na letniem mieszkaniu, powrócić znowu pod zimę w swoje strony. Przyznam się, że nie znam się na tych rzeczach, ponieważ zajmuje mię głównie wyrób i sprzedaż cukru, a więc nie przechodziłem nauk wyższych, to też nie wiem, o ile wierzyć można mniemaniu pospolitemu na norweskich wybrzeżach, że wieloryby przebywają dziewięć miesięcy do roku w wodach podbiegunowych. Utrzy-

mują też rybacy tutejsi, że każdy gatunek wieloryba, a jest gatunków kilka, wybierając się na owę letnią podróż, płynie zawsze w towarzystwie, albo zawsze w tylnęj straży jednego i tegoż samego gatunku drobnych ryb, ale wcale nie dlatego, żeby je miał zjadać, bo właśnie w żołądku jego nigdy się te ryby, za któremi on płynie, nie znajdują, tylko inne. Więc dla czegoż płynie z temi, których nie potrzebuje? Jeden stary rybak powiedział, że „przez przyjaźń” a inni śmieją się z tój rybięj przyjaźni.

(d. c. n.)

SZARADA (Malina z Siedlec).

Gdy drugie pierwsze czytać będziecie, *malina*
To w Ameryce miasto znajdziecie;
Drugie jest spójnik, wiąże drugie trzecie;
Wszystko owoc, a jeśli więcej wiedzieć chcecie,
Spojrzyjcie wyżej, wnet odgadniecie.

Krzyż z podstawą.

(Od Różyczki polnej dla Słomki).

	1	
	.k	
	.o	
	.+	
	.i	
13	.e	17
	.n	
	.i	
	.o	
	.w	
	18	20
21	.i	25
26	ka	32
	12	

1—12 Nazwisko sławnego powieściopisarza. 13—17 mineral. 18—20 owad. 21—25 imię żeńskie. 26—32 rzecz przyjemna w pokoju zimą.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go.

Rebusu:

Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swoim.

Zagadki:

Papier — osy.

Łamigłówki zgłoskowej:

Salami—Łohojks—Ojciec—Worki—Ananas—Cuda—Katar — Indyk.

Słowacki — Krasicki.

TREŚĆ: Poszukiwania ostnicy pierzastęj, opisał Stanisław z Warszawy. — Złote pachole, powieść z dawnych czasów p. M...a (c. d.) — Drzewa na nóżkach (z drzew.) — Który największy? (z drzew.) — Urlop strażaka, komedyjka ze śpiewkami w dwóch aktach p. Zofią Haukową. — Pośród śniegów i lodów, pamiętnik szesnastoletniego podróżnika w krainach północnych (c. d.) — Łamigłówki, rozwiązania. W Dodatku: Przygoda, małego Gryzusia (z drzew.) — Dobry Tadzio, wierszyk p. Azeta. — Sierotka, p. Malinę z Siedlec. — Królowa perłowego pałacu. — Łamigłówka, rozwiązanie, Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Garbusek, powieść dla dorastających panienek p. Maryą Świderską.

Przygoda małego Gryzusia.

W zaopatrzonej obficie spiżarni pewnego zamożnego domu, za starym lecz obszernym kredensem, napełnionym przeróżnymi darami Bożemi, osiedliła się po długich wędrówkach rodzina szczurów, składająca się z ojca, matki i synka, któremu na imię było Gryzusi.

Oboje starzy szczurostwo obdarzeni byli lisią przebiegłością, dzięki której niejednemu uniknęli w życiu pułapki i odwiecznego swego wroga, kota, i uszli nieraz najdowcipniejszych zasadzek, wymyślanych przez ludzi na utrapienie szczurzego rodu.

Od chwili, gdy bez niczyjej wiedzy ulokowali się w wygodnym tym mieszkaniu, zaczęli pędzić czas wesoło i przyjemnie, gryząc łakomie smaczne kaski, wyborne torty i ciasteczka, które gospodyni starannie chowała w starym kredensie pod kluczem. Trzeba wiedzieć, że te znakomite szczury zaraz po wprowadzeniu się do tego domu wywierciły za owym kredensem otwór, mający bezpośrednią komunikację z drzwiami ich pomieszkania, za pomocą której wspinały się na najwyższe półki, włożyły wszędzie, nie oszczędzając ani pysznych wędlin, ani tłustych serków, a zwłaszcza słodczy, przeznaczonych dla pani domu.

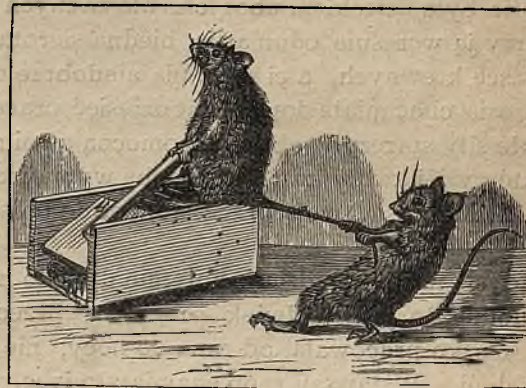
Im więcej zabiegliwa gospodyni zastawiała na nie pułapek, tym większą przyjemność miały w unikaniu zasadzki i tym serdeczniej wyśmiewały się ze straszgniewu biednej kobiety.

Takie i tym podobne przykłady miał przed oczyma młodzian Gryzusi, który rósł i rozwijał się, dobrze karmiony, śmiały, psotny i figlarny, jak ulicznik warszawski; jedną tylko posiadał on wadę, mianowicie grzeszył brakiem uszanowania i posłuszeństwa dla rodziców, za co też został, jak to wkrótce zobaczycie, ukarany.



Pewnego dnia przezacni państwo szczurowie przedsięwzięli długą przechadzkę po swoich pięknych i obszernych apartamentach: żona, wspierając się jedną łapką na ramieniu męża, drugą trzymała synka, wydzierającego się co chwila z pod opieki macierzyńskiej; wołał on bowiem poskakać sobie, zabawić się sam na swobodzie. Jakkolwiek matka silnie go trzymała, jednak upatrzy-

wszy stosowną chwilę, gdy rodzice zajęci byli sprzeczką nad budową nowej pułapki, którą właśnie dopiero co w spiżarni zastawiono, Gryzusiowi udało się wreszcie umknąć. Rodzice, w zapale swoich spostrzeżeń, mrużąc poszli dalej, nie zauważywszy nieobecności małego szczurka, gdy nagle dały się słyszeć przeraźliwe krzyki! Przestraszeni oboje pośpieszyli w tym kierunku i o zgrozo! cóż zobaczyli?... Ich synek, ukochany jedynaczek, wpadł właśnie w ową pułapkę!... Jak wszystkie nieposłuszne dzieci, nie zadawał się on tylko obejrzeniem, ale chciał koniecznie poruszyć zdradliwą maszyneryą!



Matka, nie tracąc czasu, wskoczyła na pułapkę, ciągnąc w górę zatrask całymi siłami, mąż dopomagał jej, jak mógł najlepiej... niestety! nadaremnie! pułapka nie chciała wypuścić z morderczego swego uścisku biednej, piszczącej przeraźliwie ofiary.

(d. c. n.)

DOBRY TADZIO.

Tadzio dobry był synek i dobry braciszek, Gdy szedł z nim na przechadzkę ojciec lub Franciszek, Tadzio zawsze pamiętał, choć nie wspominał tata, Przynieść mamie bukietek, ciasteczko dla brata. Raz na takiej odległej za miastem przechadzce, Spotkać swoich znajomych zdarzyło się tatce; A przyszli razem z nimi synkowie tych panów, Chłopcy jęli się bawić pośród pól i łąków, Gonitwy, gry, wyścigi, wyprawiać po drodze, Kłusem, stępą, galopem, i na jednej nodze; Tak się rozfigłowali, że któryś z tej ligi Już radził i angielskie we workach wyścigi. Byłby się i ten wyścig udał tej niedzieli, Gdyby nie to, że worków chłopaki nie mieli. Przez miasto już z powrotem, choć się szło spokojnie, Bo się trochę zmęczono, jak po jakiejś wojnie, Przecież z wielkim zajęciem toczono rozprawy I przyszłe układano podobne zabawy. Wtém, już w progu mieszkania, gdy zostali sami, Zadrzał Tadzio raptownie i zalał się łzami. — Co to? — tatko zapyta, a Tadzio rzekł tacie:

— Zapomniałem o mamie i o małym bracie!...

Ojcu żal się zrobiło małego chłopczyzny,
Rzekł więc—Nie płacz, mój synku, niema w tém twój winy,
Zresztą, wszak to drobnostka, i gdy zechce mama,
Służący kupią wszystko, co rozkaże sama.

— Wiem — rzekł Tadzio — wiem, tatku, że to rzecz jest
mała,

Że mama bukiet kupi, kiedy będzie chciała,
I brat ma u rodziców ciasteczek do woli,
Lecz... jam o nich zapomniał, i to ich zaboli!...

Azet.

SIEROTKA.

Małgosia była dzieckiem ubogich, ale zacnych rodziców, którzy ją wcześniej odumarli; biedna sierota pozostała na łasce krewnych, a ci się z nią niedobrze obchodzili. Małgosia, choć miała dopiero lat dziesięć, pracowała, ile jej wątłe siły starczyły, aby być pomocną swoim opiekunom, którzy jej każdy kawałek chleba wymawiali, nie zważając, że Małgosia swoją pracą stokrotnie im się wypłacała.

Zdawać się może, że dziesięcioletnie dziecko nie jest jeszcze zdolne do jakiegokolwiek pracy, o! przeciwnie, Małgosia ciężko pracowała od rana do nocy, nie mając chwili wolnej. Wstawszy rano, zamiatała izbę, robiła porządek w chacie, nosiła wodę, szła następnie w pole kopać kartofle, a przyniósłszy je do domu, strugała i gotowała na obiad, aby go zanieść swoim opiekunom, którzy czasem o kilka wiorst od domu byli u roboty.

Wszystko jednak chętnie i bez szemrania robiła, co kazano, tylko do lasu chodzić nie lubiła, oj! nie lubiła! w lesie tak ciemno, tak straszno było samą zbierać suche drewno i gałęzie na opał dla Wojciechów. A ci nigdy swojej Kasi, która przecież była starsza i silniejsza, po to nie wysłali, tylko biedną sierotkę; gajowy tak pilnował, że trzeba było dobrze się z każdą gałązką ukrywać, aby nie sfantował, a w dodatku nie wybił. Biedne dziewczę było w ciągłym strachu, i za powrotem do chaty błagało swoich opiekunów ze łzami, aby jej drugi raz na niebezpieczeństwo nie narażali; niestety! prośby te były daremne i nie wzruszyły twardych serc Wojciechów.

Raz więc Małgosia dażyła z płachtą po gałęzie, w chłodny i wietrzny poranek. Pomyślcie sobie, ile jest dziewczynek w jej wieku, siedzących w ciepłym i wygodnym pokoju, pod opieką troskliwych rodziców, opływających w dostatki, a jednak z twarzyczką skrzywioną i niezadowoloną, na los swój narzekających; a jakiż to los jest świetny w porównaniu z życiem takiego dziecka wiejskiego, nie wiedzącego, co to jest biały chleb pszenny, i co chwila spoczynku, lub rozrywka po pracy, co pieśczość rodzicielska? Jakże takie dziewczynki powinny być szczęśliwe, jak dziękować Bogu powinny za tyle łask, które na nie zsyła zupełnie niezastuzenie.

Małgosia, tym razem przyszedłszy do lasu, nie schyliła się jeszcze po suchą gałązkę, gdy usłyszała za sobą groźny głos gajowego „hej hej, co tu robisz, dziewczyno, nauczę ja cię zbierać gałęzie!” i zanim przerażona dziewczynka zdołała przyjść do siebie z przestachu, nielito-

ściwy gajowy odebrał jej płachtę, fartuszek i chusteczkę. Małgosia zaczęła głośno płakać, zaklinając gajowego, aby jej choć płachtę oddał, gdyż za powrotem do chaty wybiliby ją najokropniej za stracenie nie swojej rzeczy; gajowy nie tylko nie wysłuchał jej prośby, ale zabierał się ją „nauczyć, jak ma przychodzić do lasu”.

A wtém wychodzą z za drzew dziedzice tej wsi, w której się las znajdował, z swą czternastoletnią córeczką i spostrzegają, co się dzieje; natychmiast p. Wirecki przerwał dalsze pastwienie się nad sierotą, zwrócił jej napowrót zabrane rzeczy i surowo zganił gajowego, mówiąc, że jeśli tu kto zawinił, to zawsze nie to biedne dziecko, tylko ci, którzy je przysłali do lasu po gałęzie. Państwu Wireckim bardzo się Małgosia ze swoich odpowiedzi roztropnych podobała, żal im też było bardzo sierotki, po krótkiej więc rozmowie z córką, która z radością ręce rodziców całowała, zapytali, czyby Małgosia nie zgodziła się być przy ich córce we dworze, spełniać jej drobne usługi i uczyć się czytać i pisać, co było oddawna tajemnym życzeniem Małgosi. Można więc sobie wyobrazić radość biednej sierotki! rzuciła się państwu i pannie Anieli do nóg, zalewając się łzami wdzięczności.

Jakież było zdziwienie Wojciechów, gdy w kwadrans potem piękny powóz zajechał przed ich chatę, i wysiedli z niego państwo Wireccy z Anielką i Małgosią; zdziwienie ich było tém większe, gdy państwo oznajmili im, że biorą Małgosię na wychowanie; wtedy dopiero poznali, jak pożyteczną im była mała sierota, z wielką niechęcią ją też oddawali, ale obietnica p. Wireckiego, że im to wynagrodzi, ułagodziła ich zupełnie, i z udaną czułością zaczęli żegnać Małgosię, która tak miała dobre serce, że im zupełnie wszystkie doznane krzywdy wybaczyła, i ze łzami w oczach żegnała się z Kasią, obiecując ją często odwiedzać.

Dodać nakoniec trzeba, że Małgosia zupełnie została wynagrodzoną za swoje troski i zgryzoty, w dziecięcym wieku doświadczane, gdyż teraz jest już prawie dorosłą i ze łzami w oczach mówi zawsze o swych dobroczyńcach, których jak rodziców uważa i o pannie Anieli, która się siostrą dla niej stała; życie jej też bardzo mile we dworze upływa, przy zajęciach i kłopotach gospodarskich, które są dla niej rozrywką w porównaniu z dawną pracą. Pan Bóg się zawsze sierotami opiekuje, czego miała na sobie dowód biedna Małgosia.

Malina z Siedlec.

KRÓLOWA PERŁOWEGO PAŁACU.

(Dalszy ciąg).

— Jaka szkoda — powiedziała Jadzia — że nie prosiłam o sprząciki pokryte niebieskim aksamitem, albo zielonym adamaszkiem. Ale jaka ja też jestem roztrzepana — zawołała po chwili, śmiejąc się sama z siebie — mogłabyś przecież zaraz inne kazać przynieść.

Niewiele myśląc, Jadzia wzięta sznur perłowy i wydała rozkaz karzełkom, aby przynieśli sprząciki z drzewa

rzeźbionego, pokryte aksamitem niebieskim. Karzełki natychmiast to żądanie spełnili, Jadzia usadowiła lalkę na niebieskiej kanapce, to już lepiej wyglądało, a naszej dziewczynce przyszło na myśl, że byłoby daleko ładniej, żeby suknia lalki była niebieska lub szafirowa, srebrem haftowana, a kanapka blade żółta, cytrynowa. Wzięła sznur pereł i zażądała innych sprzączek, a także kazała przynieść komodę z szufladkami i kilka sukien różnych kolorów dla lalki.

Dopieroż miała uciechę Jadzia, jak zaczęła lalkę ubierać i przebierać, to w tę, to w ową suknię, sadzać na różnych kanapkach i fotelikach, dobierając kolory. Bawiła się tak dość długo, nareszcie zmęczyła się trochę i usiadła odpocząć na jednym z fotelików lalki, wcale nie za małych dla niej, lalka była taka duża, jak Jadzia.

— Chciałabym mieć teraz jakie ładne obrazki, tobym sobie przeglądała — pomyślała Jadzia i wnet wydała rozkaz karzełkom, a ci natychmiast przynieśli dużą książkę z pięknymi kolorowymi obrazkami. Na nie szczęście Jadzia nie umiała jeszcze dobrze czytać, dopiero uczyła się na elementarzu, nie mogła więc poprzeczytywać opisów tych obrazków i nie zrozumiała dobrze, co przedstawiają, więc wkrótce ję się to przeglądanie uprzykrzyło.

— Ej, lepiej każę znów przynieść jakie inne zabawki — rzekła — laleczka niech sobie odpoczywa.

Kazała więc Jadzia karzełkom przynieść arkę Noego, takie pudło ogromne, w którym pełno jest zwierzątek ślicznie zrobionych, tak, że wyglądają, jak żywe. Widziała właśnie podobną arkę otwartą na owym oknie, w sklepie zabawek.

I miała Jadzia nową uciechę, gdy karzełki przydźwigali na plecach pudło olbrzymie, w kształcie arki, osadzonej na czóźnie, z oknami i dachem; rozkładała zwierzęta na stole z perłowej macicy, niektóre poznawała, inne bardzo dziwnie wyglądały, Jadzia widziała je poraz pierwszy i nie wiedziała, jak się nazywają. Mnóstwo tam tego było: i zwierzęta czworonożne, i ptaki, i owady nawet, brakło tylko ryb, bo Noe nie potrzebował przecież zabierać ich do arki, one sobie wygodnie pływały w wodzie podczas potopu.

Nakoniec znudziło się już Jadzi rozkładanie, pochowała zwierzęta napowrót do arki, wstała i poszła do lalki. Lalka siedziała ciągle sztywnie na swojej kanapce i patrzyła na Jadzię szklanymi oczami.

— Jaka to nieznośna rzecz — myślała sobie Jadzia — że te lalki mówić nie umieją. Żeby mogła z nią trochę porozmawiać, to byłoby mi weselej. Ale wiem, co zrobić: każę przynieść jeszcze kilka innych lalek mniejszych, bo ta taka duża, taka ciężka, aż niezgrabna. Wyprawię im pyszny balik i będę sama za nie mówiła. Trzeba je będzie jakoś ponazywać.

I nie czekając, wydała Jadzia rozkazy karzełkom, a ci, zaraz zaczęli znosić wszystko: najpierw lalki w różnych ładnych ubraniach, znacznie już mniejsze od tamtej, potem przybory do baliku, gospodarstwa porcelanowe różnych kolorów, bo jak przynieśli różowe, to Jadzi zdawało się, że niebieskie będzie ładniejsze, a jak obaczyła niebieskie, to znów zachciewało ję się białego ze złotymi brze-

gami. Nakoniec karzełki przydźwigali na plecach mnóstwo przysmaków rozmaitych, i cukierków, i czekoladek, i suchych konfitur:

Jadzia porozsadzała lalki na sprzączkach, powymyślała dla wszystkich ładne i niezwykłe imiona, jak: Rozalinda, Filomena, Klorynda i inne podobne, które ję kiedyś ciocia podpowiadała, gdy szukała pięknego imienia dla lalki. Ustawiła potem przed niemi stoliczek, także przez karzełków przyniesiony, i urządziła bal przepyszny. Lalki kosztowały tylko każdej potrawy, a Jadzia i zjadała za nie, i rozmawiała. Klorynda, ta największa, była matką innych lalek i ciągle je strofowała, przypominała, ażeby nie jadły za dużo, nie napierały się, bo panienki dobrze wychowane tak nie robią; Filomenie, najmłodszej, niepozwoiliła jeść konfitur, bo niedawno chorowała na niestrawność. Filomena zaczęła trochę grymasić, ale Klorynda surowo do niej przemówiła, zagroziła, że ją w kąć postawi, więc ucichła i przeprosiła swoją mamę.

Skończył się balik, Jadzia usiadła sobie na dużej kanapie z perłowej macicy, odpoczęła chwilę, potem znów zaczęła przemyśliwać, coby to jeszcze kazać przynieść karzełkom. A wtém przypomniała sobie, co powiedziała królowa perłowego pałacu przy pożegnaniu o bańkach mydlanych.

— To jednak rzecz dziwna — mówiła Jadzia sama do siebie — czemu ona mi nie pozwoliła bawić się bańkami mydlanymi? Ja nie mam wcale ochoty do tego, tyle przecież najpiękniejszych zabawek mogę sobie sprowadzić, ale cóżby to tej królowej zaszkodziło, żeby mi się i baniek zachciało?

(d. n.)

Łamigłówka kyszałowa.

(Prymulka biała).

1. Spółgłoska.
2. Zwierz dziki.
3. Taniec narodowy.
4.
5. Produkt roślinny.
6. Zaimek.
7. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę stolicy jednego z państw europejskich.

ROZWIAZANIE DO N-ru 42-go.

Szarady:

Ty — kwa.

Skrzynka do listów.

Żóraw z Podlasia nie potrzebuje koniecznie w każdym liściku wymieniać nazwiska i dokładnego adresu, warunek ten powinien być zachowany wówczas tylko, gdy się żąda od siania zagubionego N-ru lub przesyła odpowiedź na zadanie konkursowe.

Siekierka pisze śliczną kaligrafią i tak starannie, że miło bardzo liściki jęj odczytywać, prosimy też, aby drugi raz dłużej napisała, bo z pewnością nas nie znudzi.

Malina z Siedlec nie potrzebuje przeproszać za swoje pismo, które jest wyraźne i porządne, dużo odbieramy liścików daleko gorzej pisanych. Jeżeli dłuższe siedzenie przy stoliku ma być szkodliwe dla zdrowia kochanej Maliny, to trzeba tego unikać, w młodym wieku zdrowie łatwo nadweryżyć, zwłaszcza, kto przebył takie cierpienia.

Psołka od sześciu lat czytuje „Wieczory”, a trzy razy tylko napisała do redakcyi! to troszkę za mało, ale teraz zaliczamy Psołkę do stałych korespondentek i liczymy na częstsze liściki. Konkurs nasz niejednę zapewne panienkę przekonał, tak jak Psołkę, że miło jest biednym robić uiespodzianki. Rebus i łamigłówka trafnie odgadnięte. Cieszymy się, że „Garbusek” podoba się kochanym czytelnikom.

Gołąbka biała bardzo nas ucieszyła liścikiem, sądziliśmy, że o nas zapomniała ta ptaszyna kochana, teraz wiemy, dlaczego się tak długo nie odzywała. Kazio liczy na spełnienie obietnicy. Synogarlica, od której dawno niezmiernie nie mamy żadnej wiadomości, nazywa się Zosia, a wiakiem, o ile nam się zdaje, zbliżona jest do Gołąbki.

Gwiazdce z Czerwonéj Rusi nie możemy dać objaśnienia, co do posyłek, zdaje się, że to jest zawsze z ogromnemi trudnościami połączone. Na drugi raz wyznaczymy termin jeszcze dłuższy, korespondentki nawet najbardziej oddalone będą mogły znaleźć sposobność przesłania swoich robótek.

Słomka uprzedziła życzenia naszej redakcyi, obiecując przesłać robótkę na Gwiazdkę dla ubogich dzieci, właśnie mieliśmy o to prosić kochanych korespondentek naszych. „Przeгляд pedagogiczny” z przesyłką pocztową kosztuje 7 rs. rocznie.

Warszawianka, podpisująca się także J. T., przysłała małą powiastkę do druku; prosimy ją o troszkę cierpliwości, na odczytanie tej powiastki nie mieliśmy dotąd czasu, nie możemy więc donieść, czy będzie drukowana.

Topolka z nad Wisły żadnych błędów nie porobiła w liściku, nie ma więc potrzeby za nie przeproszać. Co do łamigłówki, nie możemy sobie w tej chwili przypomnieć, co się z nią stało, prawdopodobnie znalazła się omyłka, a może czeka kolei. Tyle tych łamigłówek nadchodzi, że pomimo najszczerzej chęci dogodzenia kochanym korespondentom, niepodobna nawet i dobrych wszystkich pomieścić.

Wierzba z nad Wisły nie mogła wprawdzie otrzymać nagrody za kaligrafią, bo były nadysłane ładniejsze próbki, ale pochwala jęj się słusznie należała, bo Wierzba pisze na swój wiek bardzo dobrze, wyraźnie i starannie. Radzimy, aby pisała jaknajdłużej powoli i dużemi literkami, a z pewnością wyrobi sobie piękne pismo. Za 3 rs. przesłane dla biednych dzieci, serdeczne składamy dzięki.

Grubulkę witamy najserdeczniej w gronie kochanych korespondentek, Grubulka kochana będzie najmłodsza pośród tej gromadki i odrazu zaliczona jest do najmilszych. 2 rubelki dla biednych dzieci otrzymaliśmy, oby Bóg błogosławił dobrą Grubulkę za to, że o ubogich pamięta.

Perełka z pod Wawelu ucieszyła nas bardzo liścikiem, sądziliśmy bowiem, że o nas zupełnie zapomniała. Lilijka z nad Wisły nie odzywa się wcale do redakcyi oddawna, zapewne przestała czytywać „Wieczory”. Jeżeli Perełka zna tak dobrze Okularnika i Leszka Białego, to może zechce ich od nas pozdrowić i poprosić, żeby dali przecież znak życia.

Duch osobliwszy wybrał sobie pseudonym, ale też i gust ma niezwykły, jeśli tak lubi opowiadania o duchach i strachach. Nie możemy takich bajeczek zamieszczać często, dajemy jednak czasem fantastyczne opowiadania. Czy „Królowa perłowego pałacu” nie podoba się Duchowi? Żadna Renia nie pisuje teraz do naszej redakcyi.

Skalkę z nad Teterowa prosimy bardzo, aby ułożyła inną zagadkę, bo najpierw taka, która oznacza pseudonym, może zająć

jedną tylko czytelniczkę, a potem ta Wiewióreczka przezwala się teraz Muszelką z nad Teterowa. Prawdziwe imię Rybki teterowskiej i miejsce jęj zamieszkania odgadła trafnie kochana Skalka. Przesyłamy serdecznego całuska temu braciszкови, który jest tak podobny do Złotego pacholecia.

Jowiszowi nie mamy wcale za złe, że w czasie wakacyj zapomniiał zupełnie o „Wieczorach”, skoro teraz z podwójnym zapalem się do nich zabrał. Łamigłówki trafnie odgadnięte, nowe zaś postaramy się zamieścić, jak tylko miejsce się znajdzie. Zwracamy uwagę Jowisza, że atrament różowy, chociaż ładny, niebardzo zdrowy jest na oczy odczytujących, lepiej więc pisać liściki zwyczajnym czarnym.

Pani Nowickiej. Jako przedpłatę za kwartartał IV otrzymaliśmy tylko rs. 1, marki nie znalazły się w liście.

Panu Edw. Pawłowiczowi. Nr. 1 wysłany powtórnie, chociaż należało się daleko wcześniej o niego upomnieć, jeżeli na poczęcie zaginał. Upewniamy Szanownego Pana, że „Wieczory” są najakuratniej wysyłane z redakcyi, opóźnień, na które Pan się skarży, nie mogą pochodzić z naszej winy, tylko z nieakuratności poczty.

„Kochana Pliszko z nad Gopła! Pierwszy raz piszę do ciebie, ciekawym, czy zgadniesz, kto ja jestem? Znamy się bardzo dobrze, a może niezadługo się zobaczymy. Twój Zóraw z Podlasia.”

„Kochana Prymulko różowa! Dziękuję ci bardzo za łamigłówkę anagramową, z której niezmiernie byłam rada, bo była pierwszą, odebraną przez „Wieczory”. Żałuję mocno, że nie mogę ci się podobną odwdziaczyć, bom dotąd żadnych szarad ani też łamigłówek układać nie probowała. Życzliwa Słomka” (Ofiarowaną sobie łamigłówkę, Słomka odgadła trafnie, przyp. red.).

„Kochana Topolko z nad Kodemy! Ponieważ jesteśmy obie Topolkami, wypada, abyśmy się choć listownie poznały. Ja mam lat 11, nazywam się Mańcia, ucę się w domu i mam siostrzyczkę młodszą od siebie. A ty, Topolko kochana, co porabiasz? odpowiadaj mi prędko. Twoja kochająca Topolka z nad Wisły, która cię prosi, abys ją przyjęła za przyjaciółkę.”

„Kochana Kukułko z nad Sanny! Bardzobym chciała się z tobą poznać. Donieś mi, jak ci na imię, ile masz lat i czy masz rodzeństwo? Ja mam imię córki króla Leszczyńskiego, skończyłam lat 8 i mam jedną siostrzyczkę. Życzliwa Perełka z pod Wawelu.” (O ile wiemy, Kukułka z nad Sanny jest imienniczką i rówieśniczką Perełki; ale obaczmy, co też sama odpowie. Przyp. red.).

„Kochana Muszelko z nad Teterowa! Dziękuję ci za zagadkę i przysię w zamian inną; napisz, jak ci na imię i ile masz lat? Ja nazywam się Musia, (Klementyna) mam lat 8, mieszkam z rodzicami w Żytomierzu, ucę się w domu, mam siostrę i brata młodszego od siebie. Może się znamy? Przyjm serdeczny uścisk od życzliwej Skalki z nad Teterowa.”

Numer 20-ty.

PRZEGLĄDU PEDAGOGICZNEGO,
CZASOPISMA, POŚWIĘCONEGO SPRAWOM WYCHOWANIA SZKOLNEGO I DOMOWEGO WYSZEDŁ I ZAWIERA :

1. Lekcyje autorów klasycznych, przez S. W. 2. Czy nauka rysunków kształci siłę myślenia? 3. Wskazówki metodyczne do nauczania początków gramatyki języka polskiego, przez Henryka Wernica (ciąg dalszy). 4. Walny Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego we Lwowie. 5. Wystawa szkolna w Karlinie (w Czechach) przez J. N. 6. Krytyka i bibliografia: a) Aleksander Walicki. Błędy nasze w mowie i piśmie ku szkodzie języka polskiego popelniane, oraz prowincjonalizmy ocenił Dr. Mikołaj Bobowski. 7. Zakołady naukowe, Tłóm. B. 8. Odpowiedzi Redakcyi.